

kończące się w nurcie Indusu. Szare, brązowe, żółtawe i wszędzie martwe, bez życia zieleni, bez śpiewu ptaków, szemrzących potoków, jałowe, sterylne. My, wpakowani do busika, przeciskamy się od świtu, zawieszani nad przepaścią. Widoki niepowtarzalne i nieopisywalne. Asfalt to się kończy, ustępując dziurom i piachowi, to znów widać jego krowie placki, po których skaczemy jak pchły po psie, objając głowy o sufit. Choroba tkwi we mnie nadal. Teraz będziemy jedli, a potem dalej, zawieszani – w drogę. Obiad. Kolendra. Wszędzie ta kolendra.

Wieczór. Dotarliśmy. Skardu. Hotel Mashabrum, a już traciłem nadzieję, bo czucie w tyłku straciłem już dawno. Jutro dalej jeepami po bezdrożach. Opuszczamy Karakorum Highway i ruszamy w kierunku lodowca Baltoro.

Zeżarłem garść paracetamolu i szumi mi w głowie (tak naprawdę to jedyna okazja na szum w głowie, gdyż kupienie alkoholu jest tu niemożliwe, jesteście skazani tylko na własne zapasy). Bagaże poważone, każdy około 25 kilogramów. Tyle zabiera tragarz idący po lodowcu. Czekamy na hasło, że karawana wyrusza. Opuszczamy Skardu. Nieciekawe miasto. Pył, kurz. Siedzący wszędzie baltistańczycy (jesteśmy w Baltistanie, takim pakistańskim województwie). W każdym domu sklep, sznur aut, wózków, ludzi.

Bniemy w górę doliny Shigar, potem Braldu. Droga kiepska, rzuca i trzęsie. Do Askole ze Skardu jest 107 kilometrów i cały dzień jazdy. Deszcz. Bniemy, to nie jest jazda. Rozklekotane jeepy boksują w błocie, kamieniach, forsują strumienie. Koła to ocierają się o skałę, to wiszą nad przepaścią. Jazda po bandzie. Dosłownie. Zęby zaciśnięte, ze strachu i by nie odgryźć sobie języka na wybojach.

Askole przywitało mnie ulewą i biegunką. Askole. Ostatni bastion ludzi. Żyjących w ziemiankach, jak krety, zapadniętych w ziemię, razem ze swoimi zwierzętami. Żyją, wyrывая

splachetkom ziemi to, co wyrwać się da: małe jak śliwki ziemniaki, ryż, wątlý i mizerny, morele. Żyją. I uśmiechają się do nas.

Brak lampki stał się przyczyną szybkiego pójścia spać. Wszystko boli. Organizm wytrzęsiony na wertepach, nie zaznał ulgi, leżąc na kamieniach. Świt. Pobudka o 5.30. Góry odsłoniły się. Cudowne, ośnieżone szczyty, przeplecione warkoczami skał, a niżej piargi i ospypiska. Zieleni jak na lekarstwo. Organizacja obozu sprawna. Rozbite namioty, jadalnia, posiłki pod nos, herbata do śpiwora. Dziś rozpoczynamy pierwszy etap pieszy. Przez trzy dni, wstając o 5.30, będziemy brnąć w górę doliny, aż w końcu przywitana nas chłód czoła lodowca Baltoro.

Przez lodowiec Baltoro

Dzień jak zwykle, wchodzi już w krew. 5.30, pobudka. Do namiotu podchodzi kucharz i pyta, czy życzymy sobie herbatę zieloną czy czarną. Z cukrem czy bez? I pyta się, pajac jeden, a ma tylko zieloną, czarnej na oczy nie widział. Ale regułkę wykuł, więc się pyta. Cukier zresztą też się skończył drugiego dnia marszu, choć dalej jest w ofercie dnia. Ale to i tak miłe: leżę w śpiworku, łeb wystawiam na zewnątrz. Obserwuję, jak tragarze zaczynają się miotać w walce o lepsze ładunki, a w górze wstające słońko oświetla górskie granie po przeciwnej stronie doliny. O 6.15 już w drodze, przyspiewuję sobie, z przodu i z tyłu drepczą porterzy (tragarze), targając sprzęt. Staram się ich policzyć, ale to chyba niemożliwe, na moje oko jest ich ze 100, a jeszcze dojdą ci z Ryśkiem Pawłowskim, z naszym cargo, z 20–30 osób. Cała armia ludzi. A na ich grzbietach: kury, jajka, mąka, stoły, krzesła, nasz sprzęt wspinaczkowy, kuchnia i gaz. Idą kozy, jedna krowa i sam już nie wiem co jeszcze. Taka „tuwimowska” lokomotywa i te wagony, w których nikt nie wie, co się mieści, ale na pewno jest wszystko, co niezbędne do zdobycia szczytu.